Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Rodzina krekuch.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 19 (674)

7 MAJA 1932 R.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.



„Poszancowało...   Fot. Józef W. Krauze.

WIOSNA IDZIE.

Magiczne słowo „wiosna" u większości ludzi, którzy stoją zdala od przyrody, kojarzy się z banalnemi opisami pseudo-poetów. Wiosna dla nich — to śpiew słowika, zapach fijołków i bzów, przylot bocianów i jaskółek. Inaczej patrzy na wiosnę rolnik, a jeszcze inaczej myśliwy. Myśliwy najlepiej ze wszystkich ludzi znać może i ukochać wiosnę. Nietylko dlatego, że miewa on najwięcej sposobności do oglądania budzącej się ze snu zimowego przyrody — o każdej porze dnia i nocy, że może wniknąć w jej najzazdrośniej chowane tajniki, ale i dlatego, że pojęcie wiosny, jej rdzeń, jej najprawdziwszy sens i najgłębsze znaczenie kojarzą się w nieodparty sposób z duszą łowów wiosennych, tych najpiękniejszych, pełnych przedziwnego czaru, łowów, stanowiących oś główną lasów północy, dających emocje niezrównane, nie pod względem może elektrycznego wstrząsu, ale z powodu nastrojów nieporównanych, zespolonych z życiem otaczającego nas wówczas dzikiego świata. A teraz zastanówmy się przez chwilę, co się składa na ten czar specjalny, co powoduje tę ekstazę, która nas ogarnia przy spotkaniu się z dziką puszczą na wiosnę... Rozpatrzmy elementy tej przyrody, działanie ich na różne nasze zmysły, znajdźmy podkład psychologiczny, który ułatwia dostęp tych wrażeń do wnętrza naszej duszy, tak często zaskorupionej i oschłej, skurczonej przez mroźne tchnienia warunków życiowych, tak często niedostępnej dla przejawów wszechobecnego piękna.

Jednem może z ważniejszych uczuć, stwarzających podatne podłoże dla umiejętności wchłonięcia tego piękna, jest tęsknota. Tęsknota, wytworzona przez zimę, przez czas snu przyrody, czas oderwania się od bliższego z nią obcowania. Jest w tem również bez wątpienia atawistyczny pęd ku chwili przełomowej, jaka ma w przyrodzie nastąpić, pęd, który uczuwa, mniej lub więcej świadomie, każde żywe stworzenie.

Tęsknota za wiosną wytwarza w człowieku stan, rzekłbym, nadczuły na wszelkie najlżejsze jej objawy, stąd przychodzi np. fakt, że nieraz leciutki pobrzęk pierwszych muszek w ciepłych promieniach słońca rzuca na nas czar niezwykły, przepaja jakąś radością wewnętrzną, niemożliwą do określenia i skontrolowania. Im mocniejsza będzie tęsknota, z tem bardziej żywiołową siłą uderzy w nas ta wielka radość, tem intensywniej odczuwać będziemy najdrobniejszy przejaw budzącego się życia.

Wiosna w naszym kraju ma kilka etapów, bardzo

wyraźnych na północy. Każdy z tych etapów ma czar specjalny, każdy rzuca urok szczególny na duszę myśliwego. Wytłomaczyć tu jednak muszę, że pod nazwą myśliwego. Wytłomaczyć tu jednak muszę, że pod nazwą myśliwego nie rozumiem człowieka, polującego w ten lub inny sposób na zwierzynę, przeważnie amatora licznych strzałów, a często i licznej kompanji. Jako myśliwego — traktuję tu człowieka, który, badając przyrodę, przeniknął jej tajniki, ukochał ją całą — wszystkie jej szczegóły i przejawy, i który obcuje z nią nadal nie dla trofeów łowieckich, ale dla wrażeń i nastrojów.

Dla takiego myśliwego przyroda piękną jest zawsze — o każdej godzinie i w każdej porze roku, najciekawszą jednak, gdyż najintensywniej pulsującą życiem — na wiosnę.

Pierwszy etap wiosny, który określić można jako przedwiośnie, rozpoczynający się zależnie od roku pomiędzy końcem lutego a Zwiastowaniem, daje mniej może wrażeń bezpośrednich, niż wiosna właściwa, sączy natomiast w dusze nasze urok nieuchwytny, związany z przeczuciem. Ten pierwszy zew nadciągającej błogosławionej pory roku żywiołową siłą kołacze do wszystkich dusz i instynktów zwierzęcych, człowiek zaś, im bliżej przyrody stoi, im jest mu ona droższa i potrzebniejsza, tem silniej i głębiej odczuwa ten zew.

Gdy wiosna rozwinie się w całej pełni, gdy większość śniegów na północy spłynie, tworząc szerokie rozlewy, marszczone przez wesoły wiatr, śmiejące się w radosnem słońcu niepokolanym błękitem, gdy w nagich gałęziach liściastych zagajów zawiedzie beztroską pieśń drozd — śpiewak, a wieczorem o zmroku w chóralną nutę wczesnych żab wplecie się basowe huczenie latających czarnych żuków, — wówczas nadchodzi najciekawsza dla badacza i miłośnika przyrody pora, wówczas też wszechobecne piękno świata najpotężniej przemawia do naszej duszy, najjaskrawiej uwypukla się, niby jasny uśmiech na pięknej twarzy, świeżo zbudzonej z krzepiącego snu. Wówczas to wiosna przemawia do wszystkich naszych zmysłów, zarówno do najwięcej wyrobionych i świadomych, jak wzrok i słuch, jak i do mniej czułych, jak węch i dotyk.

Wzrok nasz podziwiać będzie cudowne koloryty dalekich brzozowych zagajów, jaśniejących w słońcu różowym fjoletem, a otulających się w późniejszym okresie w leciutki, niby przejrzysty opar, a codziennie gęstniejący welon dziewiczej zieleni otwierających się pąków. Zadziwią nas kontrasty niebywałe ciemnej zieleni zwilgotniałego boru i resztek zimowego śniegu, palącego się intensywną barwą w promieniach słońca, a przejrzyście niebieskiego w cieniu, upoją przeczyste barwy dalekich, szeroko rozlanych wód, odbijających w sobie intensywną mocą wszystkie stadja zmiennego wiosennego nieba, a tak błękitno-lazurowe w podmuchach wiatru od przeciwsłonecznej strony, jak nigdy o żadnej innej porze roku.

Wieczory dadzą nam cudowne barwy zachodów słońca, niesłychanie intensywny fjolet śniegów w kontraście do rumianej, dalekiej, ginącej za horyzontem zorzy, o zmierzchu zaś ujrzymy nadzwyczaj delikatne i zwiewne cienie o pastelowych barwach wilgotnego powietrza nad parującą w nagłym chłodzie ziemią.

Przeczysty, nieraz jeszcze mroźny świt, pokrywający ostrem szkliwem lodu zciemniałą wodę, wstrząśnie nas może jeszcze dreszczem chłodu, roztoczy przed nami takie coraz wzrastające bogactwo barw, zmieniających się z minuty na minutę, wschodzące słońce ozłoci w tak nieprawdopodobny sposób czuby drzew, zastygłe w nieruchomem powietrzu, że olśnieni będziemy tym przepychem, że zrozumiemy, iż piękno to nie jest z tego świata, że, niby objawienie przyszłych cudów, spływa na nas w wyjątkowych chwilach gdzieś ze sfer wyższych, jeszcze dla nas niedostępnych.

W niewysłowiony sposób potęguje na wiosnę czar widoków wyczucie przez inne zmysły rodzącego się i coraz intensywniej pulsującego życia. Wiosna jest porą roku, najobfitszą w odgłosy, wydawane przez świat zwierzęcy. Melodje wiosenne mają dla myśliwego — miłośnika przyrody urok niezwykły. Biorąc ściśle oderwanie, niektóre tylko z nich mają w sobie rzeczywiste piękno, czy to dźwięku, czy rytmu, większość zaś przepojona jest tylko jakiemś dziwnem uczuciem, kołaczącem z potężną siłą do naszych serc, przemawiającem znanym od kolebki ludzkości językiem do naszych otwartych dusz.

Cóż więc słyszymy na wiosnę w dzikiej puszczy? Ze zwierząt ssących nie odzywa się wówczas prawie żadne. Czasem tylko głuchą nocą w dzikim mateczniku przy podejściu głuszca posłyszy się wycie wilczej pary, niekiedy znów zaszczeka spłoszony kozioł. Dla wszystkich ptaków zato nadchodzi pora godowa.

Gdy więc, obcując stale z przyrodą, zasiądziemy przy wesołem ognisku po podsłuchach głuszcowych, gdy ostatnie pobłyski zorzy zgasną wśród gałęzi błotnych sosen, wyda nam się w pierwszej chwili, że głucha cisza panuje w lesie, przerywana tylko trzaskiem płonących gałęzi i przeciągłem syczeniem wilgotnych, parujących w ogniu bierwion. Niebawem jednak ucho łowić pocznie leśne głosy puszczy. Oto, niby dalekie, groźne hasło, dolatuje z moczarów głos puhacza, jeden niższy i krótszy — to woła samiec, drugi wyższy i nieco bardziej przeciągły — to odpowiada mu od gniazda samica. Niby jednostajne, monotonnym głosem powtarzane, urywane słowo, płynie nieprzerwanym nurtem z pobliskiego gąszczu zew małej sówki leśnej, od czasu do czasu zdaleka odzywa się niskim gwizdem fletowym wołanie puszczyka. Z błotnych rozlewów słychać kwakanie kaczek, pobliski moczar leśny gotuje się cały od bulgotania wczesnych żab wiosennych.

Minęła północ i oto w pewnej chwili las cały napełnia wrzawa melodyjnych głosów, ujętych w rytm szczególny, złożony z przeciągłych, dźwięcznych, niby surmy bojowe, tonów, ścigających się wzajemnie, cichnących potrochu i ginących wreszcie w dalekiem odbiciu echa. To czujni stróże nocy — żórawie, zbudzone na mszarnem błocie przez prastary instynkt, znaczą, niby odwieczny kurant staroświeckiego zegara, godziny upływającej nocy.

A gdy siedzącemu przy ogniu myśliwemu zdaje się, że jeszcze noc głęboka, i w bezładne, przerywane chwilami, sennych omroczeń marzenia wsiąknie zna-

gła zwiewne, niby cień od pełgającego ognia, dalekie chrapnięcie ciągnącej słonki, znak to, że pora nadchodzi, że trzeba przygasić ogień i ruszyć od noclegu w ciemną głębię boru, ku miejscom, gdzie uprzedniego wieczora słychać było potężne skrzydła zapadających na tokowisko głuszców.

I oto przed świtaniem nastaje cisza zupełna. Zamilkł daleki puhacz, przycichły sowy i kaczki. I w ciszę tę jednocześnie z pierwszym odbłyskiem dalekiej, niebieskookiej jutrzenki — wplatać się zaczyna nieporównany rytm prostej, a tak pełnej tajemniczego czaru, pieśni głuszcowej.

Znów oto przeciąga w pobliżu słonka, za chwilę donośny hejnał żórawi, gdzieś z góry — z pobladłego już nieco nieba odzywa się przeciągłe granie bekasa. Przeczystym żółtym tonem płonie już zorza poranna, z dalszego moczaru leje się zgiełkliwą falą jedyna w nastroju, rytmiczna pieśń cietrzewia.

Jeszcze chwila i oto powitalnym hymnem na cześć wstającego dnia rozśpiewał się las cały. Na wysokiej osice prześliczne, melodyjne trele wywodzi drozd — śpiewak, z całego mnóstwa małych mieszkańców liściastych lasów i przyziemnych krzaków — każdy dodaje drobną swą nutę do olbrzymiej, lejącej się szeroką falą pieśni. I duszę czującego człowieka opanowywa wówczas radość przeogromna nieznane jakieś horyzonty otwierają się przed wlepionemi w bezkresne piękno oczyma, każdem drgnieniem serca odczuwa się jakąś nieznaną siłę, jakąś potęgę nieuchwytną, niepojętą, nieziemską.

A w czas późniejszej wiosny, w pierwszych dniach maja, radzę miłośnikowi przyrody puścić swe czółno przed wschodem słońca na ciche wody leśnej rzeki Polesia, zapatrzeć się i zasłuchać w budzące się życie nadbrzeżnych łąk, bagien i oczeretów. Jako tło różnolitej muzyki mieć będziemy chybki polot czajek i ich melodyjne zawodzenie, oraz podniebne warczenie bekasa. Przyziemny świegot czarnogłowych trznadli i trzciniaków w łozach nadbrzeżnych ujednostajni to tło, na którem od czasu do czasu wypływać będą inne jeszcze dźwięki. Postrzeżemy trzęsący się lot rycyka i jego wyraźnie skandowane wołanie, przeciągłym piskliwym świegotem zaśpiewa tuż blisko mały brodziec, przelatując z jednego brzegu na drugi i muskając w locie rzutem śmigłych skrzydeł lustrzaną taflę wody.

I oto pojawi się raptem najpiękniejszy z tych ptaków — wielki kulig. Wznosząc się spiralną linją ku górze z tęsknem wołaniem, płynąć będzie następnie ku ziemi na rozpostartych skrzydłach, rozgłaszając szeroko, na całą okolicę, chromatyczną gamą swej godowej pieśni, o tonach tak czystych, jak najpiękniejszy flet. Na niepokalanym błękicie, jak biała, zwiększająca się wciąż plama, sunąć będzie piękny ptak, świecąc w słońcu śnieżnem podbiciem wyprostowanych skrzydeł, aż zcichnie wreszcie, podbiegając rączo do ukrytego w gęstwinie traw gniazda.

Niemniej piękny od poranka — jest wiosenny wieczór. Inny tu jednak spotykamy nastrój.

Wesoły wiatr, marszczący wody wiosenne, ucicha, gdy słońce skłoni już ku zachodowi swą złotą głowę. Różowy, przechodzący we fjolet, opar otacza wkoło daleki horyzont, a im niżej zapada słońce, tem więcej fjoletu widzimy we wszystkich cieniach.

Gdy po zachodzie słońca staniemy na leśnej polanie nad brzegiem moczaru, gdy nad głową wypiętrzą się czuby olch o misternym, rudawym rysunku gałęzi, i wyniosłe, liljowe kity brzezinowe — nastaje nieporównana chwila. Milkną powoli głosy ptasie, ciemnieje wschodnia strona nieba, gdzieś w górze odzywa się granie bekasa. Z surowego bagna wraz z wilgotnym oparem płynie chóralna, podobna zdala do bulgotania gotującej się wody, pieśń wczesnych żab; niby mały samolot, zahuczał nad głową przelatujący żuk.

I oto gdzieś, nad lasem, powstał nieuchwytny, daleki dźwięk — szmer nieśmiały, organicznie związany z nastrojem wieczora — delikatne chrapanie ciągnącej słonki. Z wysokiego nieba mrugnęła pierwsza gwiazda, gdzieś, na dalekim mszarze, ozwała się huczna fanfara żórawi, z pociemniałej dali doleciał pojedyńczy bełkot cietrzewia, zapowiedź pięknej na jutro pogody... Tuż, nisko, z kwakaniem, przemknęła para kaczek, zataczając koło na tle zachodniej pozłoty; z dalekiego, dzikiego uroczyska ozwało się hukanie puhacza.

Znów noc wstępuje w swe prawa, minęła doba, posunęła się o jeden mały krok na swym odwiecznym szlaku krocząca w triumfie przyroda, miłosierna matka wszelkiego na świecie żywego stworzenia, będąca równie szczodrą dla swych najdzikszych dzieci, jak i dla nas — ludzi, o ile garniemy się do niej z ukochaniem i z myślą o jej bezgranicznem pięknie, a nie przystępujemy z bezwzględnemi projektami podporządkowania wszystkiego swoim wygodom, z myślą materjalnego wyzysku i dogodzenia jedynie własnym, egoistycznym zachciankom.

WŁODZIMIERZ KORSAK.



Szczęśliwy poranek w okolicach Opoczna.
Fot. inż. H. Knothe.



FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy).

Wiedziałem, że „wschodnim pawilonikiem" nazywano murowany domek-altankę, który znajdował się w odległej, zachowanej w dzikim stanie części parku; do środka pawiloniku nigdy nie byłem dopuszczany, gdyż stanowił wyłączną własność „Junony" i uważany był za coś w rodzaju jej sanktuarjum. Zostawiłem za sobą szeroką i długą aleję stuletnich wiązów, wszedłem na wąziutką ścieżkę, wijącą się w gęstem podszyciu z krzaków, minąłem dwa połączone chwiejącym się mostkiem, śpiące jeziorka, pochłonąłem jeszcze kawał drogi przez krzaki i stanąłem przed łukowatemi drzwiami wejściowemi. Na pukanie ozwało się szczeknięcie psa, oraz niezwłocznie: „kusz" i „proszę". Polecając się opiece i obronie wszystkich dobrych mocy, posłusznie wsunąłem się do środka. Urządzone ze wschodnim przepychem wnętrza odrazu wywarło na mniej wrażenie jakiejś ogromnej klatki, zawieszonej cennemi tkaninami, przesiąkniętej wonnościami, zapełnionej błąkającemi się cieniami smutku, tęsknoty i marzeń uwięzionej, lecz nie ujarzmionej duszy i dyskretnie chroniącej tajemnicę jej dążeń do wyzwolenia. Na zwisającym, połyskującym jak cielsko węża, sznurze, smocza paszczęka wpijała zęby w ściętą u góry kryształową kulę, sącząc rozlewne światło. Przyćmione ziewem rozwartej paszczy, rzucało boczne odblaski na dywany ścian, jasną, kolistą plamą układało się na kobiercu, oświetlając nieduży, cudacznych kształtów, stolik, oraz znajdujący się na nim lśniący „samowar" i zastawę. Za stolikiem, na szerokiej i bardzo niskiej, wzorzystej tachcie (otomanie) siedziała „straszliwa "pani. Zarzucony na ramiona, biały, puszysty szal okrywał jej kibić, zwisał ciężkiemi fałdami ku podłodze i spadał na ciemne tło dywanu kłębkami srebrzystej piany. U zgrabnych stóp siedzącej leżał przed chwilą skarcony seter. Miękkim ruchem ręki wskazała mi miejsce obok siebie, proponując „czaszkę czaju" (filiżankę herbaty).

Przyjemne ciepło, melodyjny śpiew wrzącego „samowara" i bądź co bądź intrygująca sytuacja, w jakiej się znalazłem, dodały mi animuszu. Nieznacznie obserwując klasyczny profil i piękne, jakby rzeźbione dłutem nieśmiertelnego artysty, ręce, popijałem aromatyczny napój. Starałem się szczerze podtrzymać konwersację i nawiązując do przyczyny, dla której pani zechciała obdarzyć mnie swojem miłem towarzystwem, zacząłem rozwodzić się nad wyjątkowemi zaletami laweraków. Majestatycznie powolny zwrot kształtnej główki ukazał mi dziwnie zmienione rysy zawsze jak wykutego z marmuru oblicza. Złagodniałe, jakby przysłonięte pajęczyną zadumy, fascynowały wdziękiem i miękkością. Pytające spojrzenie szeroko otwartych oczu utkwiło gdzieś powyżej moich brwi. Na ułamek sekundy zaciąłem się. „Napróżno— podjęła — pan się wysilasz na wyszukiwanie tematów, któreby mnie mogły zainteresować. Szkoda fatygi, która popłaca bawidamkom w salonach. Zastanawiam się wszakże nad tem, czy wyrobione o panu zdanie jest zgodne z pańską rzeczywistą wartością". Zdębiałem. Nie byłem przygotowany dy dyskusji na temat osobisty, w dodatku tak obcesowo poruszony. „Zaczyna harce" przemknęło przez mózg. „Nie dać się"! — I licho przekory opanowało mnie całkowicie. „Jestem więcej niż pewny, że osąd pani w ogólnych zarysach zgadza się z rzeczywistością i nie wątpię o tem, że był i jest dla mnie pochlebny. Potwierdzeniem tej pewności jest miła niespodzianka obcowania z właścicielką zacisznego zakątka, gdzie każdy atom powietrza, przesiąknięty jej powabem i wyrozumiałością na ludzkie ułomności, dokumentuje dobre intencje prawdziwie serdecznej kobiety. Nie chciałbym jednak, aby moje wady i ujemne cechy, które, niestety, posiadam, były idealizowane, gdyż obawiam się, że dobroć serca i znana wspólnym znajomym stała przychylność — mogą przyczynić się do zwiększenia mojej zarozumiałości". „Aha! Jowisz się gniewa, znaczy... ale cóż dalej"?— Zagryzłem wędzidła i poniosłem na całego. „Dalej?— Nie twierdzę, że odpłacałem i odpłacam pani bezkrytycznem podporządkowaniem się jej wspaniałomyślnej ocenie moich zalet i wad, że nie chylę czoła przed nieomylnością jej przekonań i że nie czyniłem starań znalezienia takich tematów, któreby wywołały słodki uśmiech dumnych ust, lub przyjazne spojrzenie kamiennych oczu. Proszę wierzyć, że podziw mój dla pani był zawsze szczery, a niezłomność i hart jej poglądów, grzebiące nieodwołalnie wszelką moją chęć dążenia do zmiany raz wyrobionych przez nią opinji, imponowały mi prawdziwie". „Złośliwość zwykle nie chodzi w parze ze szczerością", napomknęła, „a więc?" „Otóż wdzięczny jestem za jasne postawienie kwestji i prostolinijność pani. Idę po linji najmniejszego oporu i zaręczam, że nigdy w przyszłości nie ośmielę się wysilać na konwersację, wywołaną tylko koniecznością okazywania gościnności przez panią domu, oraz postaram się unikać zmuszania do tej gościnności". „Nie ciekawe, nie dowcipne i nie wykonalne"— odrzekła spokojnie, — „uczynić tego pan nie możesz,

gdyż ja, a nie pan, posiadam prawo decyzji i w każdej chwili mogę zmusić pana do podporządkowania się mojej woli. Mów pan dalej". „I owszem, droga pani! — jeszcze nie skończyłem. Przed chwilą, byłem na moment zaskoczony odruchem własnego serca. Proszę wybaczyć, lub uśmiać się z odrobiny uczuciowości. — Salon i życie jeszcze nie zdołały doreszty jej wyplenić. Gdy spostrzegłem na zwykle wyniosłej twarzy cień jakiegoś smutku, cierpienia czy zadumy, gdy zauważyłem zdumiewającą zmianę rysów, obecnie tchnących łagodnością i słodyczą... gotów byłbym nieba uchylić i...".

„Dziecinada", przerwała, „jednak cóż i?".

„Hardość, zarozumiałość i nieokiełzanie niedowarzonego młodzika stanęły na przeszkodzie tego „i" a treść następnego przemówienia pani była dla niego zasłużoną nauką", odparłem.

„A! i o tem jesteś pan poinformowany. Widocznie miałam słuszność, jak mam ją i teraz, nazywając po imieniu objaw dziecinnego romantyzmu", odcięła i stary znajomy—wzgardliwie drwiący uśmiech wykwitł na ponętnych ustach „Junony". „Chcę wszakże wiedzieć dalszy ciąg", dodała marszcząc brwi i mrużąc powieki: „więc i?..".

„Dla praktyki, lub kaprysu mała próbka wiwisekcji... co?" wypaliłem i zawstydzony, natychmiast dorzuciłem: „szczerze przepraszam za głupi żart. Naprawdę zmiana wyrazu twarzy pani była tak niespodziewaną i wzruszającą, iż nie można się dziwić mojej nieziszczalnej chęci usunięcia nurtującego panią, jak mi się wydało, strapienia. Chociaż nigdy nie potrafię zrozumieć przyczyny, może i zasłużonej niechęci, wszakże mocno żałuję, że skierowałem rozmowę na niebieczne tory i z całej duszy pragnę, aby pani, w głębi swego serduszka, w dobroć którego nie bacząc na wszystkie pozory, święcie wierzę, nie czuła do mnie żadnej urazy". Nastąpiło przykre milczenie. Nie byłem zadowolony z siebie. Czułem, że przeholowałem i zachowywałem się jak rozdrażniony, pewny siebie gołowąs.

„No, dobroć mego serduszka nakazuje mi nie pozbawiać pana ulubionej rozrywki" — przerwała krępujące milczenie, podnosząc się, pani B. „Tuż obok co wieczór ciągną słonki. Pokażę panu, gdzie należy stanąć".

Stanęliśmy o kilka kroków od „pawiloniku", pod samotną lipą, rosnącą nad urwistym brzegiem rzeki, omywającej jedną stronę parku. Usunięcie się ziemi obnażyło część korzeni lipy, które, dziwacznie splątane lub sterczące, zwisały nad wodą setką zeschłych, pokurczonych ramion i odbijały się w zwierciadle płynącej rzeki ruchomemi, zdradliwie pełzającemi mackami olbrzymiej mątwy. Za rzeką, z jej biegiem, ciągnął się wąski pas krzaków i zarośli, jakby spychany do wody przemożnym ciężarem nasuwającej się ściany wysokopiennego lasu i wraz z błyskotliwą, wodną wstęgą ginął w brunatno sinej chmurze starodrzewu. Na lewo — szara łączka, gdzieniegdzie pokryta zielonkawemi plamami już obudzonych z zimowego snu i odradzających się pod tchnieniem wiosny szuwarów i traw, tworzyła trójkąt, którego podstawą była część brzegu rzeki, bokami zaś — obsadzona gęstym żywopłotem granica parku i ciemna linja boru. Nad czarną taśmą zwartej masy lasów, jaśniało długie opalowe pasmo, podtrzymujące wklęsłe sklepienie nieba. Sklepienie to, u dołu granatowe, wyżej prześwietlana snopem mieniących się złotem, zielonych promieni, jeszcze wyżej gorejące zarzewiem fantastycznego pożaru skłębionych zwojów purpury, fjoletu i srebrnej gazy, łączyło się z jednolitą, bladoniebieskiej barwy szatą niebios dziwacznie uzębionemi górami z szafiru i pereł.



Poleski brodek. Fot. A. Dobrski.

„Wiecznie nowy i od początku istnienia świata powtarzający się obraz walki Radości ze Smutkiem. Na razie pokonana Radość ustępuje z placu, aby ze świtem w glorji zwycięstwa zdeptać różowemi stopami czasowy triumf Smutku" — półgłosem zwróciłem się do opartej ramieniem o drzewo i uporczywie milczącej pani.

„Ponure ciemności Smutku dla niektórych trwają zbyt długo" — odrzekła.

„Gdyż często, droga pani, z własnej woli je przedłużają, lubując się w urojonych cierpieniach i świadomie zamykając oczy na zorze i jutrznie Radości".

Zamilkliśmy.

Wilgotny powiew lasu przyniósł odgłos emocjonującego chrapania słonki.

Pierzchły nastroje. Pierwotny instynkt czyhającego na zdobycz drapieżnika-człowieka obudził się — wytężyłem wzrok. Przecinając ukośnie łączkę, obranym szlakiem, niezawodnie wiodącym ku miłosnej przygodzie, podążał tajemniczy kochanek... w obję-

cia najmniej oczekiwanej Kostuchy. Leciał wysoko, rytmicznie poruszając skrzydłami. Wstrzymany celnym strzałem, na moment zawisł w powietrzu, przesunął się naukos w dół i runął pionowo w nadbrzeżne szuwary. Wysłany Lord odszukał i sprawnie przyaportował zdobycz.

Mrok szybko zwiększał się. Bez strzału za rzeką przeciągnęła z cykaniem jeszcze jedna słonka. Milcząca pani odeszła. Jeszcze czekałem. Zgasły doszczętnie soczyste barwy wiosennej zorzy. Na popielatym firmamencie zamigotały pojedyńcze gwiazdy. Drzwi „pawiloniku" otwarły się i w nikłem oświetleniu wymykającego się nazewnątrz światła, zarysowała się sylwetka pani B. Zamierzałem wyjąć naboje i zejść ze stanowiska.

Jak rzucony niewidzialną ręką szmat ciemnej tkaniny, zwinięty w nieforemną kulę, skręca się i rozkręca w powietrzu, a następnie w falistych ruchach opada na ziemię, tak z poza żywopłotu nagle ukazał się żywy cień, zamajaczył przede mną ułudnie powiększonym kształtem i to kurcząc się, to rozszerzając, mijał mnie w locie po łamanej linji.

Podrzuciłem dubeltówkę. Rozkazujący, nie znoszący sprzeciwu okrzyk: „nie strzelać" powstrzymał moją dłoń od naciśniętego cyngla i para złączonych uściskiem nieposkromionej żądzy ptaków, koziołkując w powietrzu, zapadła w parkowe haszcze. Wściekłym pchnięciem nogi rozgniewana niewiadomo z jakiego powodu „Junona" zatrzasnęła drzwi i znikła wewnątrz swego sanktuarjum.

Byłem skonsternowany i przez dłuższy czas nie wiedziałem, jak zareagować na widoczne zdenerwowanie pani B. Wreszcie zdecydowałem się przejść nad niem do porządku dziennego. Rozładowałem broń, oparłem ją o ścianę i zastukałem do drzwi. Nie doczekałem się zaproszenia do wejścia. Trochę zaniepokojony wszedłem... Na tachcie, kryjąc twarz w dłoniach, nawpół leżała skulona postać. Suche, bezgłośne łkania wstrząsały jej ramionami. „Co się stało?" — poskoczyłem do niej. Jak burza zerwała się z tachty i omal nie dotykając mnie dygocącem ciałem, w najwyższem uniesieniu głosem niskim, wychodzącym z głębi wzdymających się piersi, wyrzucała potok słów, które zmieniły mnie w bezradny, pozbawiony zdolności rozumowania, manekin.

„Jesteś pan tu! Co się stało? On tego zrozumieć nie może!... Czy zastanawiasz się, niegodziwy człowieku, nad tem, co chciałeś uczynić? Masz zawsze na wszystko otwarte oczy... prawda? Kimże jesteś? Czy ślepem, głupiem pisklęciem, czy przemądrzałym zbójem?... Czy brutalne zniszczenie zaczątków Miłości nie jest największą zbrodnią? Czy mógłbyś, samolubny chłopcze, zdeptać rozkwitający kwiat przepięknych chęci i przerwać tętna serc żywych istot złączonych w takim oto uścisku"... błyskawicznie zarzucone na moją szyję pachnące ręce szarpnęły w dół moją głowę i pałający policzek przylgnął do mej zdumionej twarzy...

Mocarny władca Szał zdruzgotał więzy domniemanej nienawiści, obalił gmach cnoty, połączył pałające żarem wargi, chciwie ssące czar z kielicha piękna Namiętności, zespolił splecione orkanem rozszalałych zmysłów młode ciała i wytworzył wiecznie piękny, wiosenny Cud — oddania się i posiadania.

* * *

Na drugi dzień, w czasie podawania pierwszego śniadania, poważny Porfiry doniósł mi, że pani domu wyjechała porannym pociągiem. Na odjezdnem kazała doręczyć mi list, oraz prosić, abym, nie krępując się jej nieobecnością, zabawił jak najdłużej.

Ogarnięty wzruszeniem, przez dłuższy czas trzymałem w ręku list od tej — cudnej i najdroższej. Wreszcie rozerwałem kopertę. Na małym bileciku, przesiąkniętym wonią delikatnych perfum i subtelnym zapachem wypieszczonych rączek, pismem drobnem, jak perełki, skreślone były wyrazy:

„Tak w żizni: Radość w sled za Gorem, za płaczem, Szczastje posietit".

(Tak w życiu: Radość po Nieszczęściu, po łzach zaś Szczęście nas odwiedzi).

* * *

Jak twór rozhukanych morskich fal, z chaosu moich wrażeń i uczuć wyłaniała się prawdziwie boska postać zwycięsko, lecz słodko uśmiechniętej „Junony"... Kute z pereł i płomieni ramiona brały w wężowe sploty duszę i ciało śmiertelnika i wlokły je w bezdenną toń roskoszy, a z mroków ubiegłych tysiącleci istnienia wyrysowywała się jeszcze jedna odmiana wiecznie rozwiązywanej i przez największych mędrców świata nie rozwiązanej zagadki, której miano: Kobieta.

(C. d. n.). STANISŁAW SKRZYŃSKI.



„PUSZCZA" J. WEYSSENHOFFA W KINIE.

Już pod jesień 1931 r. zaczęły krążyć pogłoski o nakręcaniu „Puszczy" pod kierunkiem reżyserskim R Biske'go.

Świat myśliwski z niecierpliwością oczekiwał filmu, osnutego na perle literatury łowiecko-beletrystycznej.

Nareszcie w marcu r. b., jakby z uczuciem, towarzyszącem przylotowi ptactwa, ukazał się ów film, budzący w naszych sercach zarozumiałą ciekawość.

Korzystając z bytności w Warszawie, pośpieszyłem do kina z myślą, że nareszcie mam możność, tu, na bruku stołecznym i w tak odpowiednim sezonie zobaczyć i usłyszeć podobiznę pieśni ptaka, który tam gdzieś, o 300 — 400 klm. od gwaru wielkomiejskiego, akurat w wieczornej porze, usadowił się na poleskich błotach do snu, aby z kilkogodzinnem opóźnieniem odegrać identyczną, jak na płótnie, scenę, przy udziale być może innych Kotowiczów i Oleszanek.

Zdawało mi się, że nastąpi spotkanie bec-a-bec ze zmartwychwstałym, a tak miłym Morozem, z panną Renią, panną tego pokroju, jaki tylko w kinie dziś można oglądać, z Oleszą, z Kotowiczem i z całem tem, dawno już, na podstawie fantazji i widzianych w życiu typów, wyimaginowanem towarzystwem.

Od pierwszego przeczytania „Puszczy" tyle już lat upłynęło, że zdążyliśmy się zżyć z jej bohaterami i zapewne każdy z nas, myśliwych, wymarzył sobie ich postaci oraz to cudowne tło, na którem cała akcja weyssenhoffowska się rozgrywa.

Okazało się jednak, że imaginacja myśliwska w porównaniu z bezładną fantazją pseudo-reżysera kinowego jest poprostu niczem.

Czasy są ciężkie, — to prawda. Ludzie teraz może więcej niż kiedykolwiek robią sobie wzajemnie przykrości, ale skąd się wzięło w panu Biskem aż tyle złośliwego persyflowania w stosunku do sędziwego autora „Puszczy".

Okazuje się, że teorja o reakcji jest słuszna, ale nie w takim stopniu zachowana jest w stosunkach ludzkich, co w fizyce, bo, czyż za wzięcie nagrody literackiej należał się, jako rekompensata, aż taki bolesny cios, wymierzony w ostateczne pognębienie, zmierzające wyraźnie do pogrzebania żywcem czcigodnego laureata.

Zobaczyło się bowiem, że nigdy człeku z krewiakami Morozów nie polowałeś i nie będziesz polował, gdyż wstyd ogarnąłby cię, gdybyś przy takim wykwintnym panu — strzelcu musiał się ubrać w kostjum, jakiego od lat używasz sam do kresowych polowań, więc z tego choćby powodu wyrzeknij się towarzystwa, noszącego nowiuteńkie, nieskalane błotem, bagnem, wodą, deszczami, żywicą i ziemią ubrania.

Tuś się dopiero mógł rozejrzeć, myśliwcze, jak nieumiejętnie stalujesz sobie i swoim strzelcom kurtki myśliwskie, czy mundury.

A toż klapy muszą być dwa razy szersze, niż w smokingu, bo tak trzeba, abyś widocznie stale zawadzał przy strzale kolbą o te ozdoby.

A wy, panowie, angażujący nowych strzelców i strażników łowieckich, pamiętajcie, aby przy pierwszem widzeniu zaraz dać im do ręki strzelbę. Jeśli równie umiejętnie, jak filmowy Moroz wezmą ją do ręki, — znak to, żeście dotąd w wyborze służby łowieckiej po mylnych drogach chadzali.

Cóż tu mówić o czapce futrzanej, czapce pańskiej?

Poczciwy Kotowicz przywiózł widocznie od Chowańczaka dwie identyczne, — jedną dla Karewicza, drugą dla Ordeyg'a, aby biedacy nie przeziębili się, chodząc latem po lesie.

Do was się zwracam, panowie myśliwi, żebyście jasno zdawali sobie sprawę i z tego, że gdy przy pochodni kiedykolwiek wyruszać będziecie na łowy, zgaście ją, bo zaprzeczycie podstawom nauki o świetle.

Patrzcie, jak jedzie Kotowicz z Morozem.

Pochodnia pali się z boku lub raczej z tyłu, trzymana ręką Kotowicza, a siedzącemu na przodzie Morozowi rozjaśnia twarz w sposób nadnaturalny.

A dalej...



Znudzona matka. Fot. por. M. Januszewski.

Dotychczas polowaliście (zapewne) na głuszce tylko w marcu i kwietniu, a teraz wiedzcie o tem, że wszystkie przemarznięcia, kaszle, chrypki, chłód, niewygody i często lodowata woda w butach zostały skasowane, bo głuszec gra tak samo w innej porze roku, znacznie cieplejszej, gdy knieję przysłonią już ozdoby z liści i wysokiej trawy.

Zresztą, pieśń słowika o tej porze, tak żywo przypominająca niejednemu jego własne toki, niech go umocni w tem przekonaniu, że dotychczas wszystko robił w niewłaściwej porze.

Wschód słońca. Bardzo „piekna" dekoracja, żywo przypomniała mi tło do odpustowych fotografij.

Bez takiej perspektywy żaden urlopowany ułan, saper, ani bombardjer nie da się ustawić przed aparatem ze swą lubą.

Jak to wreszcie człowiek tyle lat żyje, a niczego się nie nauczył, przekonałem się dopiero podczas seansu.

Proszę sobie wyobrazić, że dotąd starałem się podskakiwać głuszce, gdy szlifują, ale, że oddawna w mieście siedzieć muszę, nie wiedziałem, że głuszce od zeszłego roku zmieniły taktykę i teraz trzeba się poruszać tylko podczas trelowania.

Dobrze jednak, że to zobaczyłem przed wyjazdem na toki, bo, stosując stare, dawne metody, niechybnie naraziłbym się na śmieszność ze strony nowocześnie tokujących ptaków. Jak dobrze bywać czasami w kinie!

Ze strachem muszę się też przyznać, że całym tym obrazem rządzi jakaś „nieczysta siła", a że tak jest— proszę posłuchać.

Podskakujesz sobie człowieku do takiego wypchanego i drutem kiwanego głuszca (można kiwać nie tylko publiczność, ale ptaki też), który ci gra na złość nie tak, jak te dawne, przez ciebie zabite, ale właśnie inaczej; — strzelasz..., pudłujesz, a tu zrywa się wrona i odlatuje spokojnie dalej.

Okazuje się, żeś do takującej wrony strzelał. Takie czasy.

A z wabieniem łosi.

Nic — tylko wyraźna superemancypacja klemp.

Wabi Ordeyg łosia, a tu przychodzi sobie klempa, która gwałtem podczas rui chce być bykiem; i słusznie, bo jakżeż miałaby się nie szanować, skoro ogromny byk nie zdążył się odpowiednio przygotować i nosi jeszcze rosochy w scypule.

Więc na wabia najpierw idzie pani łosiowa, bo jak równość, to równość.

Będąc w zmowie z szatanem, można też sobie pozwolić na inne jeszcze sztuczki, na które św. Hubert nigdy nie zezwala myśliwym, a już nagance — tylko w wyjątkowych wypadkach.

Stoją sobie myśliwi i myśliwe o 20 — 30 kroków jedno od drugiego i, jak Bóg przykazał, przez reżysera, ciągną za spust, niby do wilka strzelając, a tu zaraz, usłużny naganiacz wynosi do „karawanu" myśliwskiego lisy i zające.

Ot, gdzie sztuka. Strzelasz do wilka, a pada lis lub zając.

Lubię takie polowanka, ale tem kino mi nie zaimponowało, bo widziałem lepsze, gdzie zamiast łosia padł domowy, roczny byk, a po strzałach do kuropatw wynieśli z łanu kartofli nieźle zestrzelaną... babę, z prawidłowo umieszczonym, poniżej nerek, nabojem śrutu...

Jeździli ponoć kiedyś mądrzy Polacy sankami w lecie, a że obecnie dziedziczność ta ukazała się w innej formie, więc polują na wilki z fladrami też w lecie, a nie w zimie, jak to bywało in illo tempore.

Dzięki Bogu, raz tylko musiałem oglądać ten film i być może, nie zdążyłem zauważyć innych niedokładności, wynikających z karygodnego niedbalstwa tych wszystkich, od których zrealizowanie przecudownej powieści zależało.

Artyści grają starannie, ale czyż to ich wina, że Ina Benita nie umie siedzieć na koniu, a podczas jazdy kłusem, co fotografowano z dość znacznej odległości, nie została zastąpiona przez inną osobę, dosiadającą konia tak, jak z pewnością robiła to dziewczyna — kozak, panna Renia.

Sam dobór typów, poza Kotowiczem i Teo, należy uważać za dowód ignorancji reżyserskiej i brak najelementarniejszego wczucia się w otoczenie, w psychologię ludzi i warunki ich bytu.

Siadanie Moroza „za pan - brat" z Kotowiczem tak jest niezgodne z rzeczywistością, tak rażące w obyczajach starego sługi i stosunku do swego ubóstwianego pana, że naprawdę dziwić się nie trzeba, iż polska sztuka kinematograficzna dotychczas znajduje się w powijakach.

Reżyser, który w ten sposób opracowywa tak wdzięczne i piękne, jak „Puszcza", fabuły, powinien zacząć terminowanie myśliwskie od chodzenia w nagance, aby starannie przyjrzeć się i notować te spostrzeżenia, bez których nie może być mowy o solidnem potraktowaniu wziętego (niewiadomo dlaczego) na siebie obowiązku.

Ina Benita, zapewne, posiada warunki do kreowania główniejszych ról w filmach erotycznych, jednakże postać jej tak „pachnie" miastem, że wybór tej aktorki na Renię uważać śmiało można za chęć zurbanizowania cichego zaścianka poleskiego.

Moroz?

To nie Moroz tylko pan Moroz, i to z tych panów podupadłych; robi wrażenie inteligenta, który wskutek osobistych kataklizmów życiowych, z łaski wielkopańskiej, został przyjęty na strzelca-rezydenta.

Nawet ubranie jego — to pozostałość jakby z lepszych czasów, a bezkurkowa broń, którą obraca w rękach, jak pastorałem, świadczy o kompletnem niedopatrzeniu reżyserskiem.

Jeśli się do tych uwag doda jeszcze fatalne wprost dekoracje i b. słabe zdjęcia (z wyjątkiem łosi i wilków) plein-air'owe, przy jeszcze gorszem posługiwaniu się jupiterami, — całość nie zachwyci ani przeciętnej publiczności, ani tembardziej myśliwych-znawców.

JERZY DYLEWSKI.

O REZERWATACH, ŁOWIECTWIE I OCHRONIE PRZYRODY.

W odpowiedzi na mój artykuł o rezerwatach (patrz „Łowiec Polski" 1932, Nr. 8) mecenas Garczyński zabrał głos w następnym numerze naszego czasopisma. W odpowiedzi swojej mecenas Garczyński w dalszym ciągu wypowiada się przeciwko rezerwatom, mającym chronić faunę. Widać moje argumenty nie były dostatecznie przekonywające.

Znaczną część artykułu poświęca mecenas Garczyński podniesieniu zasług świata myśliwskiego dla zachowania n i e k t ó r y c h przedstawicieli naszej fauny. Sądzę, że nie mnie mecenas Garczyński chciał przekonywać, bowiem ja wyraźnie napisałem: „że jeśli łoś, jeleń, niedźwiedź i wiele innych gatunków występuje dzisiaj na ziemiach naszych, to jest to tylko i wyłącznie zasługą myśliwych". Na tem poprzestałem, nie chciałem bowiem na ten temat się rozpisywać w przekonaniu, że w piśmie łowieckiem tezy takiej specjalnie uzasadniać nie trzeba. Jeśli zaś tak, to mecenas Garczyński zrobił to lepiej odemnie i nie pozostaje mi nic, jak tylko cieszyć się, że pod tym względem przynajmniej zgadzamy się całkowicie.

Zgadzamy się zresztą również i co do tego, że na-

ruszanie równowagi w przyrodzie jest rzeczą niedopuszczalną, która się mści i częstokroć prowadzi wprost do katastrofy. Szkoda jednak, że argumenty mecenasa Garczyńskiego oparte są tylko na rozpatrywaniu stosunków, panujących w zespołach (asocjacjach) roślinnych. Sądzę, że w tym właśnie artykule należało sięgnąć również do świata zwierzęcego i rozpatrzeć te elementy, które składają się na istnienie biocoenozy wogóle. A podejście do tego zagadnienia od strony „zwierzęcej" byłoby w piśmie łowieckiem specjalnie ciekawe.

Nieco dalej mecenas Garczyński pisze: „Nie wszyscy też wiedzą, że państwo nasze jest na swych wschodnich kresach właścicielem szeregu puszcz, zajmujących dziesiątki i setki tysięcy hektarów powierzchni, podzielonych nominalnie na nadleśnictwa, w istocie zaś zawierających obszary, które nie wszystkie lasem możnaby nazwać, a na których ręka człowieka mimo wszystko nie wiele jeszcze dała się we znaki, i obejmujących asocjacje roślinne takie, jakie były na tych obszarach od niepamiętnych czasów".

Otóż mogę upewnić p. mec. Garczyńskiego, że zarówno istnienie tych obszarów, jak i ich charakter dobrze są znane tym przyrodnikom, którzy ochroną przyrody się zajmują. Poglądy przyrodników są tylko na szczęście bardziej pesymistyczne od poglądów myśliwych. Zdaniem mecenasa Garczyńskiego ani tym puszczom, ani ich mieszkańcom nie grozi zagłada. Jednak oczywistość dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Niestety przewidywania niektórych dawniejszych autorów co do tego, że niektóre gatunki zwierząt skazane są na zagładę, sprawdzają się, mimo, że istnieją na wielkich przestrzeniach „asocjacje roślinne takie, jakie były na tych obszarach od niepamiętnych czasów". Zginął tur jeszcze w wieku XVII mimo, że puszcze, które go żywiły były wówczas jeszcze w pełnym rozkwicie. Tak samo zginąłby żubr, gdyby nie to, że był chowany w Białowieży, która była, ściśle rzecz biorąc, prawie rezerwatem. Zginął koń dziki, zginął rosomak z ziem polskich, dalej polalucha... To te gatunki, które albo zniknęły zupełnie, albo też przestały występować w Polsce. Ale wieleż jest takich, których zasięgi, w czasie ostatnich lat dwustu, lub nawet stu, zmniejszyły się bardzo znacznie! A więc: łoś, niedźwiedź, żbik, ryś, wilk, norka, bóbr, głuszec, jarząbek, dubelt it. d. Wymieniam tu niektóre tylko gatunki, przedewszystkiem łowne. Niektóre z nich jeszcze kilkadziesiąt lat temu bytowały tam, gdzie obecnie nawet słuch o nich zaginął. Granice jednych zmniejszyły się gwałtownie; —innych zmniejszały się powoli, nieznacznie, często niezauważalnie dla jednego ludzkiego życia. Niemniej jednak stwierdzić musimy, że giną one, jeśli nie zupełnie, to w Polsce.

Mecenas Garczyński uznaje rezerwaty florystyczne, a nie uznaje faunistycznych. Specjalnie zaś ma idjosynkrazję do słowa „rezerwat". Jeśli o to tylko chodzi, to chodzi o drobnostkę, — można używać poprostu innego terminu. Nazwijmy więc rezerwaty za Mickiewiczem m a t e c z n i k a m i. Przyznam się, że słowo to milej mi brzmi w uszach. Zresztą pocóż mamy używać terminów obcych, skoro mamy własne. A więc mateczniki. Otóż mecenas Garczyński o ich zachowaniu pisze „To tak, jakbyśmy przyznali, że w rozumny i kulturalny sposób mamy traktować tylko niektóre, nieliczne obszary, gdy na innych ma wszechwładnie panować barbarja. Nie mam też nadziei, by w takich warunkach te nieliczne wyspy ostały się pośród powszechnego morza barbarzyństwa. Kandydaci zaś na „pomniki przyrody" zbyt wielkich wymagają obszarów, zbyt mało liczą się z różnemi pomysłami ludzkiemi, mającemi nawet na względzie ich bezpieczeństwo i dobry byt, by mogli się zadowolić różnemi rezerwatami i dać się utrzymać w oznaczonych zgóry miejscach".

Cóż mają znaczyć powyższe słowa? Wynika z nich jakby, że ci, którzy walczą o ochronę przyrody, postawili sobie za zadanie „tworzenie" mateczników i, że to jest głównym ich celem i troską. Otóż jako były członek Państwowej Rady Ochrony Przyrody, mogę poinformować czytelników „Łowca Polskiego", że tak bynajmniej nie jest. Zresztą, by się o tem przekonać, wystarczy przejrzeć wydawnictwa P. R. O. P., a przedewszystkiem jedenaście roczników „Ochrony Przyrody". Sprawa mateczników wygląda zupełnie inaczej, właśnie naodwrót. Zwrot „że w rozumny i kulturalny sposób mamy traktować tylko niektóre, nieliczne obszary" jest użyty bardzo nieszczęśliwie. W zestawieniu z ideologją tych, którzy dążą do ochrony przyrody wygląda on, jakby to powiedzieć... dziwnie. Ochraniarze bynajmniej nie rezygnują z walki na całym froncie, na którym, używając słów mecenasa Garczyńskiego, panuje wszechwładnie „barbarja". Owszem, wprost przeciwnie, dbają oni o całą przyrodę ojczystą i może właśnie dlatego zmuszeni są niekiedy występować przeciwko myśliwym. Przyzna zresztą mecenas Garczyński, że występują naogół bardzo łagodnie.



Nur hr. Puslowskiej. Fot. M. Załęska.

Co zaś do mateczników, to pozwolę sobie poprostu na porównanie. Czy ten, kto buduje twierdze, buduje je dlatego, że ma zamiar ojczyznę swą oddać nieprzyjacielowi?

Ale mecenas Garczyński dowodzi, że twierdze nie są potrzebne. Wierzy w to, że puszcze trwają i przetrwają. Cytuje Kiplinga. Ja w odpowiedzi zacytuję Mickiewicza:

„Równienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,

I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze,
Przy ognisku myśliwskiem, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilii widokiem szumem Wilejki

Ukołysany, marzył o wilku żelaznym;
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.

* * *

Kniejel do was ostatni przyjeżdżał na łowy
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy,

Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie
Wy, koło których niegdyś pełzałem, jak dziecię?

Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie
Dwunastu ludzi mogo wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?

I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
Kupiecka lub rządowa, moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom którym cień wasz tak miły, jak ptakom.

Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gadula
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Już naturalnie nie o rówienników litewskich wielkich kniaziów tu chodzi. Ale czyż tak wiele istotnie pozostało z tych puszcz, które znał wieszcz? Nie chodzi już tak bardzo o „pomniki", o poszczególne drzewa, z któremi związana jest legenda i tradycja. Chodzi o zachowanie z tego co jest jeszcze na przyszłość, chociażby drobnych części dziewiczej przyrody. I cóż z tego, że w ręku rządu są ogromne obszary ziemi, gdzie przyroda zachowała się w stanie niemal niezmienionym?

Co dzieje się w naszych oczach z Białowieżą? Co się stało z wielkiemi lasami Zamoyszczyzny? Jak wygląda step Pantalichy? Jakby już dzisiaj wyglądały Tatry, gdyby nie P. R. O. P. A Karpaty?

A jeśli mecenas Garczyński nie może sobie wyobrazić, co na miejscu pierwotnej dziewiczej przyrody może powstać, to niech tam pojedzie. Może zmieni zdanie. Ale po co tak daleko! Czy nie wystarczy tramwajem do Wilanowa? Toż Warszawa powstała wśród puszcz i bagien! W naszych zaś czasach gospodaruje się trochę intensywniej, niż dawniej. Na to, co naszym przodkom trzeba było lat tysiąca, to nam i naszym wnukom starczy lat sto.

Mecenas Garczyński nie boi się o dziewiczą przyrodę na t. zw. kresach wschodnich, a ja się boję, bo wiem, że ją djabli biorą. Wiem, że lasy się tnie. Mecenas Garczyński twierdzi, że nie opłaca się osuszać bagien, a ja wiem, że na Polesiu przeprowadza się na wielką skalę roboty osuszające, względnie przygotowania do nich.

Tak wygląda to idealne dzisiaj. Jak będzie wobec niego wyglądać jutro? Czyż nie czas jest wobec tego myśleć o tem, by ocalić możliwie jak najwięcej, dlatego właśnie, by później nie trzeba było „tworzyć" rezerwatów, czy mateczników?

Najdziwniejszem jednak wydają mi się w zestawieniu z innemi następujące słowa mecenasa Garczyńskiego: „jestem przeciwnikiem zakładania rezerwatów, mających na celu ochronę fauny, gdy odwrotnie — jestem gorącym zwolennikiem rezerwatów, mających na celu ochronę flory". Więc jakże to ma być? Gdybym chciał być tak złośliwy, jak mecenas Garczyński, to wspomniałbym o owym wilku, który mówił do pasterza: „Ty dbaj tylko o dobry paśnik, a owcami to już ja się zajmę".

Daleki jednak jestem od tego, by tak mówić naprawdę. To też zauważę tylko, że w pracy społecznej koszula nie powinna być bliższa ciału, niż kapota.

Chodzi nie o rezerwaty takie, czy owakie, nie o nazwy, chodzi o zachowanie przyrody wogóle. Nie wątpię, nawet po tym ostatnim artykule, że leży to na sercu również i mecenasowi Garczyńskiemu, który jednak zapominając, że myśliwych interesuje zaledwie jakiś drobny ułamek procentu naszej fauny, chce im narzucić ochronę całości. Jest to, mam wrażenie, na razie, ciężar ponad siły. Wystarczy jeśli myśliwi, tak, jak dotąd, będą się w swoich łowiskach opiekowali zwierzętami łownemi. To i tak trudniejsza część pracy.

Mateczniki nie umniejszą nam terenów łownych. Pomnożą natomiast ilość dobrych sąsiadów, a czem to jest w gospodarstwie łowieckiem, to nie potrzebuję tutaj tłomaczyć. Naturalnie trzeba tylko, by to byli istotnie dobrzy sąsiedzi. Krótko mówiąc, chodzi o gospodarkę łowiecką w matecznikach. To jest ta właśnie część zagadnienia, która interesuje myśliwych. Nad nią też tylko w istocie rzeczy warto tutaj dyskutować.

Jedno pytanie do dyskusji postawił właśnie mecenas Garczyński, pisze bowiem: „Kto jednak ma tę gospodarkę prowadzić? Czy myśliwi, którzy już niejednokrotnie wykazali, że powierzoną sobie faunę od zagłady potrafią uchronić, czy nieznani bliżej gospodarze przyszłych rezerwatów, według niezawsze wypróbowanych metod?".

(C. d. n.). JANUSZ DAMANIEWSKI.

NOWY NABÓJ NIEMIECKI
(HALGER ULTRAPATRONE).

W dniu 2 marca 1931 r. badany był w niemieckim Instytucie w Wannsee, w gronie zaproszonych specjalistów, nowy nabój kulowy na szybkość: Ładunek ten przedstawił inżynier H. Gerlich z Kilonii (Kiel.), prowadzący firmę „Vickers Armstrong Ltd", piszący dotąd pod firmą Vigilant Itinezant — autor broszury „Gewerh Reinigung" (patrz Łowiec Nr. 39 r. 1930).

Szybkość kuli jest blisko dwa razy większa od szybkości dotąd osiągniętej i kula nazwana została „Halger ultrapatrone kal. 7 (280) wagi 6,5 lub 9,3 gr. osiąga szybkość 1475 m/sek; która to szybkość podniesioną jeszcze być może.

Badania na stacji doświadczalnej robione były na aparacie le Boulange, i dowiodły, że osiągnięte szybkości początkowe leżą na wysokości uznanej dotąd za wprost fantastyczną. Kula, strzelona do płyty niklowo - bronzowej grubości 12½ mm., przebija ją na wylot pozostawiając otwór dwa razy większy od średnicy kuli; zaś wewnętrzna zawartość kuli rozpryskuje się, działając na stal płyty, jak materjał wybuchowy. Wynalazca ma naturalnie na widoku zastosowanie nowego pocisku do artylerji polowej i morskiej.

Broń do prób użytą nazwał wynalazca „Halger ultra Büchse"; jest ona zwykłą magazynową bronią Mausera; kula 7 mm., wagi 6,5 gr. o cienkiem ołowianem jądrze, nie daje żadnego metalicznego zasmarowania, co przecież za pomocą optycznego badacza luf (Optischer Lauf-Prüfer, Hans Kollmorgen Berlin, W. 57) łatwo sprawdzić można.

WŁ. SŁONCZYŃSKI.

ZAPYTANIE:

Z okazji wygrania „Championatu Świata" w strzelaniu do gołębi przez p. Renfro z ekipy amerykańskiej, proszę aby p. W. S. podał w „Łowcu" szczegóły, dotyczące Bokflinty", z jakiej strzelał Renfro, bo dotąd nikt o takiej broni nie słyszał.

Z. Chłopowski.

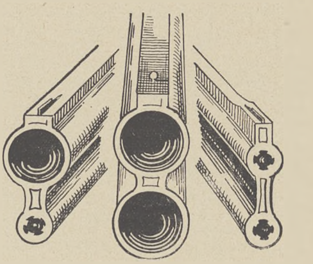
ODPOWIEDŹ:

Ponieważ niemożliwe jest borowanie paru luf z jednego bloku stali, muszą więc lufy być borowane z pojedyńczych sztabek — a później złączone w całość za pomocą lutowania.

Najbardziej używaną formą dubeltówek były bronie z lufami obok leżącemi; w ostatnich jednak latach weszły w modę bronie z lufami, leżącemi jedna nad drugą: Bockdoppelflinten - Bockgewehre - Bockflinten (Fusils a Canons superposes).

Dwie lub nawet trzy lufy, złączone z sobą za pomocą lutowania, znane były już dawno; w ostatnim dopiero dziesięcioleciu weszły w modę, tak, że można je uważać za najmodniejsze bronie do sportu i polowania. Bock-dubeltówka ma jakoby tę wyższość nad bronią z lufami przy sobie leżącemi, że strzelec uchwytuje cel szybko i pewnie, gdyż pole widzenia nie jest ograniczone, przyczem odrzut jest minimalny.

P. Renfro zabił w sezonie 658 gołębi (89%) na różne odległości, przyczem ustanowił rekord 13/13, na 33 metry, strzelając z Bokflinty kalibru 12 fabrykacji „Gebrüder Merkel w Suhl".



Büchsflinta. — Dubeltówka — Express.

Firma ogłasza następujące wagi i ceny swoich broni:

Kal. 20 wagi k.	2.900 (7,1 f. szt.)		
„ 16 „	3.000 (7,3 „)	ceny M.	1.750.—
„ 12 „	3.200 (7,8 „)		2 000.—
Gołębiarki wagi	3,5—4 (8,5—9,8)		

Hr. Aleksander de Dora (Węgry), który drugi rok z rzędu wygrał Wielką Nagrodę na standzie w Monte — Carlo, strzelał w tym roku z Büchsflinty Braci Merkel.

W. S.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Gajowi zbrodniarze. — Jak podaje „Kurjer Warszawski", w Karpatach, nad Łomnicą, ujęło żywcem pięknego jelenia, który wskutek zasp śnieżnych i głodu nie mógł ujść.

Zwierzę zamknięto narazie w stajni, aby tam wypoczęło i doszło do sił. Co zamierzano z jeleniem tym zrobić — trudno przypuszczać, wiadomem zaś jest, że nazajutrz miejscowi gajowi, nie chąc pozbyć się łupu, jelenia zarżnęli.

Szkoda jest wielka, zabity jeleń był bowiem niezwykle pięknym okazem i długo jeszcze spełniać mógł rolę reproduktora.

Rozpiętość rogów jelenia przekraczała podobno metr.

Haniebny czyn gajowych — zbrodniarzy został odkryty.

Funkcjonarjusze policji państwowej w Bersztach skonfiskowali zabitego jelenia.

Po wypchaniu, zwierzę ozdobić ma zbiory muzeum przyrodniczego w Warszawie.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich podjął kroki, zmierzające do należytego ukarania winnych przez odnośne władze.

Możemy chyba być przekonani, że zbrodniarze gajowi poniosą za niesłychane swe barbarzyństwo zasłużoną karę, która dla nich raz na zawsze będzie nauką, a dla innych — przykładem. —*jb.*—

— **Zwierzyniec na Pomiarkach Truskawieckich.**— (poczta Truskawiec, pow. Drohobycz). Zwierzyniec powstał w r. 1929, staraniem p. Rajmunda Jarosza; posiada on ogrodzenie z siatki drucianej, basen z wodą oraz kilka przestronnych klatek. Zwierzostan (skromny) przedstawia się następująco: 2 lisy, 3 tchórze, 4 kuny domowe, 1 wiewiórka, 2 sarny, 11 popielic, 2 orzechówki i 2 kaczki-krzyżówki. Kuny, tchórze, lisy i kaczki zakupiono. Starą sarnę darował dyrektor Zakładu Zdrojowego w Truskawcu p. Rudolf Lukas, drugą zaś p. Grocholski, urzędnik salin ze Stebnika. Resztę złowili kustosze Muzeum truskawieckiego pp. Jarosław i Marek Saganowie, którzy też mają pieczę nad zwierzyńcem. Funkcję dozorcy pełni p. Antoni Dubik. Mnożą się tylko popielice. Miesięczne utrzymanie zwierzyńca wynosi około 45 zł.

J. Wł. Kobylański.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Z KIELECKIEGO.

Koło Łowieckie św. Huberta w Kielcach, liczące około 30-tu członków, rekrutujących się z miejscowej inteligencji, posiada tereny łowieckie w powiatach: kieleckim, jędrzejowskim i włoszczowskim, na których ma płatnych strażników łowieckich. Plagą jest rozwielmożnione wnykarstwo, uprawiane masowe zwłaszcza w sierpniu — wrześniu na kuropatwy w radlinach kartofli. Represje karne, stosowane przez pp. starostów, są naogół słabe, choć odwołania kłusowników do sądu okręgowego od orzeczeń administracyjnych są w 95% odrzucane w części, dotyczącej stwierdzenia winy i omal w 100% co do wymierzonej kary. Bywają nawet wypadki podniesienia przez sąd wymiaru kary, określonej przez starostwo. Z rąk sidlarzy pada rocznie bezwątpienia większa ilość kuropatw i zajęcy niż od strzałów myśliwych. Grubsza zwierzyna przeszła do historji. Terenów do polowań na kaczki i ptactwo błotne — brak. Polowania na zające są jedynie zbiorowe i urządzane raz jeden do roku na danym terenie; polowania na kuropatwy — wyłącznie z psem. W roku myśliwskim 1921/32 Koło urządziło 14 polowań zbiorowych w 12 — 13 strzelb każde i na nich ubito: 823 zające, 2 lisy i 5 wałęsających się psów i kotów. Najlepszy ilościowo wynik jednego popolowania: 127 zajęcy, najsłabszy 16 zajęcy (polowanie na terenie leśnym, państwowym). Kuropatw padło 508 sztuk, cietrzewi na tokach — 16, szkodników ubito — 17. Doniesień karnych na wnykarzy zrobiono 39. Próba hodowania bażantów całkowicie zawiodła wskutek wybicia sprowadzonych bażantów przez kułosowników — przeważnie batami.

Przeżywany kryzys gospodarczy odbija się dotkliwie na budżecie Koła, noszącym charakter wybitnie oszczędnościowy. Duszą Koła był znany na terenie kieleckim zamiłowany myśliwy — hodowca p. Józef Tomicki, który niestety emigrował do Lublina. Zarząd Koła dąży do tworzenia znacznej przestrzeni obwodów łowieckich w jednym kompleksie, czemu jednak staje na przeszkodzie zbyt krótki ustawowy termin minimum lat dzierżawy i następująca po ekspiracji umowy i podniesieniu zwierzostanu niepomierna zwyżka tenuty dzierżawnej, akceptowana przeważnie przez pp. myśliwych z Zagłębia i Śląska. Szkoda wielka, że ci towarzysze z pod znaku św. Huberta nie uważają za wskazane porozumienia się w tej mierze z poprzednim dzierżawcą danego terenu. Miejscowe organizacje łowieckie uważają za niedopuszczalne wydzierżawianie terenów, posiadanych dotychczas przez zalegalizowaną osobę prawną i mają zamiar ogłaszać imiennie w „Łowcu" zrzeszenia myśliwskie, uniemożliwiające im prowadzenie prawidłowej gospodarki łowieckiej i walkę z niepomiernym wyzyskiem na rynku terenów myśliwskich. — *W. K.*

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

S. HISZPAŃSKI szewc

w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 7. Telef. 648-02.

Nagrodzony Złotą Tarczą na P.W.K.

istnieje od 1838 r.

SPECJALNOŚĆ! Obuwie myśliwskie.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY

TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 638-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

JAN SZTOLCMAN

JAK UNIKAĆ WYPADKÓW Z BRONIĄ?

NAKŁADEM CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH. BROSZURA NIEZBĘDNA NIETYLKO DLA MYŚLIWYCH, ALE TAKŻE DLA WSZYSTKICH POSIADACZY BRONI.

DO NABYCIA

W SKŁADACH BRONI
i REDAKCJI „ŁOWCA POLSKIEGO"

CENA 25 GROSZY.

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażantarnie Ordynacji Przeworskiej mają do zbycia większą ilość jaj bażantów mandżurskich — Phasianus torquatus oraz krzyżówek kolchijsko mandżurskich — Phasianus colchicus torqatus. Zgłoszenia przyjmuje dokąd zapas starczy Dyrekcja lasów Ordynacji Przeworskiej w Zmysłówce p. Grodzisko k. Przeworska.

Do sprzedania (Seter-Laverak) pies i suka, pierwsze pole, nie tresowana, po 250 złotych, bezrodowodów, wiadomego pochodzenia; Żółta Karczma Służew Warszawa 12 telefon 8-55-84.

Leśnik lat 32, trzeźwy i energiczny, z długoletnią praktyką zamiłowany myśliwy i znający się dobrze na gospodarce leśnej, oraz na hodowli bażantów. Pierwszorzędne świadectwa i referencje. Poszukuje posady od 1 maja 1932 r. lub później. Łaskawe zgłoszenia: Leon Plechota, gm. Rossoszyce, poczta Sieradz, woj. Łódzkie.

Poszukuje dzierżawy większego terenu myśliwskiego z dobrym zwierzostanem rogaczy, zajęcy, kuropatw, bażantów i błotnego ptactwa, z możnością dodzierżawienia sąsiednich terenów, niedalej 100 km od Warszawy, konieczne 2—3 pokoje dla myśliwych na miejscu. Wiadomość: Skład Broni J. Sosnowski w Warszawie, Ossolińskich 1, tel. 647-47 adres telegr. „Soslis".

Puhacze żywe młode do sprzedania. Wiadomość: Zarząd Ordynacji Dawidgródeckiej, Mankiewicze, poczta Stolin lub Skład Broni „J. Sosnowski" w Warszawie, Ossolińskich 1, telefon 647-47.

Springer-Spaniele znakomite aportery, półroczne po rodzicach importowanych i nagrodzonych w Anglji, do sprzedania. Rodowody na żądanie. Wiadomość: Zarząd Ordynacji Dawidgródeckiej, Mankiewicze poczta Stolin lub Skład Broni „J. Sosnowski" w Warszawie, ul. Ossolińskich 1, telefon 647-47.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH
JEST JEDYNYM TYGODNIKIEM MYŚLIWSKIM W POLSCE.

Każdy racjonalny myśliwy-hodowca znajdzie w ŁOWCU POLSKIM porady i wskazówki z zakresu hodowli zwierzyny, porady, dotyczące psów i broni myśliwskiej, bogato ilustrowany dział beletrystyczny, wiadomości o stanie zwierzyny w poszczególnych województwach i t. p.

Na łamach ŁOWCA POLSKIEGO zabierają głos najwybitniejsi pisarze - myśliwi. ŁOWIEC POLSKI ogłasza zarządzenia władz z zakresu łowiectwa. ŁOWIEC POLSKI, będąc oficjalnym organem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, udziela swoim prenumeratorom porad prawnych, dotyczących kwestyj łowieckich.

ŁOWIEC POLSKI jest najtańszem, ilustrowanem pismem fachowem, wydawanem na pięknym, ilustracyjnym papierze, objętości 20 kolumn, a w numerach ozdobnych do 40 kolumn.

MYŚLIWI-HODOWCY

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE »ŁOWCA POLSKIEGO«
JEDYNE W POLSCE, TYGODNIOWE, NIEZALEŻNE PISMO MYŚLIWSKIE.

KUPCY I PRZEMYSŁOWCY

reklamujcie się w tygodniku »Łowiec Polski«, którego liczni czytelnicy stanowią wybitny element nabywczy.

ADRES ADMINISTRACJI: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15